

Wojciech Kaliszewski: Słucham Milesa Davisa

Echo dźwięków wibrujące w muzyce Davisa miało i ma przecież do dzisiaj ciężar metafizyczny. Jest kluczem do przestrzeni, które otwierają się na poziomach dalekich od zwyczajności. Jego muzyka wybiega jakby ponad inne dźwięki, ma w sobie coś ze światła pędzącego w nieskończoność. Przypomina to poszukiwanie innych wymiarów, innych miar, pól i barw. Każde jego wejście solowe otwiera przed słuchaczem szczelinę prowadzącą wprost do innych światów – pisze Wojciech Kaliszewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Miles Davis. Muzyczna podmiotowość”.

Trudno uwierzyć i przyjąć do wiadomości, że Miles Davis urodził się sto lat temu i że od dnia jego narodzin minął wiek. To brzmi nieprawdopodobnie i niewiarygodnie, bo jego granie wciąż jest żywe: ilekroć słucham *Bitches Brew*, *Big Fun*, czy *In a Silent Way* mam wrażenie, że jest to muzyka, która właśnie się rodzi, że są to płyty jakby spoza czasu i ponad czasem. Od razu powiem, że odbieram tę muzykę bez jakiegokolwiek podkładu teoretycznego, że to jest odbiór całkowicie surowy, ale zarazem taki, że trudno się z nią rozstać i wręcz niemożliwe jest wyciszyć w sobie to niezwykle echo, które ona wzbudza. To zresztą chyba zawsze, co pociągało mnie w jego graniu, łączyło się z nieustannym wędrowaniem dźwięków przez bliższe i dalsze plany i z nagłymi, zaskakującymi zwrotami. To nigdy nie była muzyka „płaska”, muzyka powierzchni równo przemierzonej i dlatego przewidywalnej. To były i są fugi, ucieczki, pogonie i powroty i z tego właśnie rodziło się to urzekające echo – echo, w którym zwielokrotniały

się możliwości dźwiękowej skali. Bo Davis odkrywał nowe miejsca w coraz to innych skalach zmieniał je, przyjmował lub niespodziewanie odrzucał.

Nie ma jednego klucza interpretacyjnego, którym można by granie Davisa opisać. Słowa nie uchwycą tego nieprzewidywalnego rytmu, który go prowadził i który jednocześnie sam dawał się prowadzić jego trąbce. Z tego współprowadzenia i współbrzmienia wypływały niezwykle układy tonów. Mam wrażenie, że on sam bywał nimi zaskoczony i zdziwiony, ale poddawał się tym układom i napięciom w sposób doskonały: twórczy i zarazem pokorny, otwarty i – jak o nim mówili niektórzy – narcystyczny, a przecież często także czuł się jakby zagubiony, niepewny swoich kroków i pomysłów. Miles Davis na pewno nie mieści się w jednym stałym formacie osobowym i artystycznym. Ufał muzycznej intuicji. A warto dodać, że niewielu muzyków daje się tak prowadzić i poddawać sile jakiejś tajemniczej twórczej energii. Tę energię wyczuwa się w każdym dźwięku jego trąbki. Nikt przed Davisem tak nie grał i nikt po nim. To jest wyjątkowa trąbka, tak jak równie wyjątkowa, chociaż zupełnie inna i z innych rejestrów duszy płynąca, była trąbka Louisa Armstronga.

Przeczytaj również: Miles Davis chciał być kochanym za to, co właśnie teraz robi

Miles Davis grał zawsze bardzo „swoją” muzykę. To znaczy taką, którą w pełni tylko on mógł zagrać i powtórzyć. Wyznaczał nią własną twórczą drogę. Dyktował warunki, oczekiwał akceptacji i wsparcia. Wszyscy inni, którzy z nim grali musieli się dostosować do jego kroku i zmieścić się w skali, którą wybierał i przyjmował. Davis grając, prowadził z innymi specyficzny dialog muzyczny – dialog z przewagą imperatywnego monologu.

Echo dźwięków wibrujące w muzyce Davisa miało i ma przecież do dzisiaj ciężar metafizyczny. Jest kluczem do przestrzeni, które otwierają się na poziomach dalekich od zwyczajności. Jego muzyka wybiega jakby ponad inne dźwięki, ma w sobie coś ze światła pędzącego w nieskończoność. Przypomina to poszukiwanie innych wymiarów, innych miar, pól i barw. Każde jego wejście solowe otwiera przed słuchaczem szczelinę prowadzącą wprost do innych światów. A przy tym wszystkim Davis grał zawsze niezwykle prosto. Nierzadko można odnieść wrażenie, że oto przykłada do ust trąbkę ktoś, kto dopiero poznaje jej tajemnice i możliwości. Po chwili jednak okazuje się, że to tylko złudzenie, że możliwości instrumentu w tych rękach są ograniczone i nie sprostają wszystkim pomysłom muzyka. Bo to była przede wszystkim jego osobista muzyka, osobiste zwierzenie. Napisano o Davisie kiedyś tak: „Ten intymny charakter odnajdujemy także w prostocie gry Milesa. Żaden inny muzyk w historii jazzu nie osiągnął prostoty w sposób tak wyszukany i wytworny. W grze Milesa zacierają się sprzeczność istniejąca zawsze między prostotą a złożonością.”

Miles Davis wybierał z materiału muzycznego, z możliwego i bliskiego mu repertuaru dźwięków to, co dawało się uformować w sposób najprostszy i zarazem najbardziej znaczący. A zarazem celem każdej tak ułożonej frazy było poszerzanie wspomnianej głębi i odsłonięcie nowej harmonii. Dla osiągnięcia tego celu wystarczało mu zazwyczaj kilka dźwięków, którymi operował w sposób niepowtarzalny.

Być może w historii światowego jazzu byli od niego lepsi instrumentalisci, grający dokładniej, obejmujący od początku do końca całe partytury i wydobywający z trąbki dużo bardziej precyzyjne dźwięki. Byli tacy, którzy eksperymentowali, wytyczali nowe kierunki i

**Przeczytaj również:
Krótki przewodnik po
galaktyce. Subiektywny
wybór płyt Milesa
Davisa (i nie tylko)**

style. Ale tylko Davis potrafił grać tak przejmująco i porywająco. Miał niepowtarzalny styl, otwierający się z jednej strony na

nowoczesność, ale z drugiej zawsze respektujący tradycję. Był z nią na pewno mocno związany, czuł ją, miał ją w swojej muzycznej pamięci, dbał o nią, ale nie bał się śmiało wybiegać poza jej granice.

Miles Davis ma swoją legendę muzyczną. Jest częścią legendy jazzu. Warto jednak pamiętać, że legendy nierzadko bywają pułapką, która porywa wyobraźnię, rozleniwia i pozwala się słuchaczowi bezwzględnie nieść ku nieznanym brzegom. I oczywiście Milesa Davisa otacza legenda, która z rzeczywistą historią jego muzyki nie zawsze odnajduje wspólną drogę i harmonijne współbrzmienia, która zgrzyta i bywa w tym układzie „atonalna”. Ma zresztą tych legend sporo i niełatwo byłoby ogarnąć je wszystkie. Każda bowiem ma swój własny i niepowtarzalny wymiar. Bywa, że te opowieści, anegdoty i zdarzenia nie przystają do siebie, ze się kłócą ze sobą i wzajemnie wykluczają. Każda legenda ma przecież swój niezależny kierunek, rytm i cel. Mogą się te „legendarne” linie przecinać i nakładać na siebie, mogą sobie przeczyć i niczym – jak w partyturze – elementy fugi gonić jedna drugą. W przypadku Davisa najważniejsza jest jednak jego muzyka, której warto słuchać i w która warto się wsłuchiwać.

I na koniec, kiedy słucham *Kind of Blue*, dodam, że Davis wytrwale podążał od „brzegów jazzu” – jak ujął to kiedyś Leopold Tyrmand, pisząc o początkach tego niezwykłego nurtu kultury muzycznej –

podążał od źródeł ku brzegom nieznanym. Jego brzmienie jest zjawiskiem tajemniczym, fenomenem, czymś co zaistniało w sposób wyjątkowy i jedyny, niepowtarzalny. To po prostu wciąż słyhać.

Wojciech Kaliszewski

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [530]:
„Miles Davis. Muzyczna podmiotowość”**

Ilustracja: Miles Davis w 1963 roku // Wikimedia Commons



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego